Bogdan
Grzeloński

DWA ŚWIATY

Moskwa
Nowy Jork
Waszyngton
1973–1986

universitas

DWA ŚWIATY

Moskwa
Nowy Jork
Waszyngton
1973–1986

Bogdan
Grzeloński

DWA ŚWIATY

Moskwa
Nowy Jork
Waszyngton
1973–1986

Kraków

Publikacja dofinansowana przez SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny w Warszawie

© Copyright by Bogdan Grzeloński and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2021

ISBN 978-83-242-3786-9
e-ISBN 978-83-242-6585-5
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Ewa Letachowicz

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

www.universitas.com.pl

Od autora

Niniejsza książka jest ułożonym zbiorem różnego rodzaju moich wspomnień z wyjazdów do Stanów Zjednoczonych Ameryki – Nowego Jorku, Waszyngtonu; do Moskwy i w jej okolice w latach 1975–1986 oraz do Budapesztu w 1981 roku. Mają one formę dzienników, notatek, zapisków z rozmów, spotkań, konferencji, a także dokumentów pochodzących z kwerend w Narodowym Archiwum w Waszyngtonie i w Bibliotece Kongresu, a także w Bibliotece Departamentu Stanu i w Nowym Jorku na Columbia University.

Książka wiele zawdzięcza moim najbliższym: Uli i córkom – Patrycji, Annie oraz siostrzeńcowi Piotrowi Samojlikowi.

Spis treści

Od autora 5
I. O sobie 9
II. Marzec 1968 11
III. W SGPiS – wrzesień 1972 15
IV. Wyjazd do Moskwy – 1975 18
V. Moskwa 1976. W Instytucie Historii Akademii Nauk 30
VI. Moskwa – wrzesień 1976 36
VII. Nowy Jork 1977–1978 49
VIII. Moskwa – wrzesień 1978 130
IX. Moskwa z Ulą – wrzesień 1979 135
X. Daleko od Moskwy – Nowy Jork 1979 145
XI. Moskwa – listopad 1980 149
XII. Wiosna 1981 – wyjazd z Ulą do Stanów Zjednoczonych . . . 162
XIII. Warszawa – Moskwa 1981 170
XIV. Budapeszt 1981 181
XV. Moskwa 1982 184
XVI. Moskwa 1985 191
XVII. Nowy Jork, wrzesień 1985 – marzec 1986 197

I. O sobie

Początek mojej biografii można datować od wtorku 23 grudnia 1941 roku, w trzeci dzień srogiej zimy, przed godziną szóstą rano. Urodziłem się w pokoju na parterze jednopiętrowego domu przy ulicy Alexanderhofstrasse 190/1 w Litzmannstad. Zostało to zapisane w zachowanej Geburtskunde, którą rodzicom – Annie i Romanowi wystawiły w kilka dni później, 29 grudnia władze okupacyjne. Od listopada 1940 roku Łódź została bowiem wcielona do III Rzeszy, a jej nazwę zamienił Hitler na Litzmannstadt, by uhonorować pamięć o pruskim generale Litzmannie, który w Wielkiej Wojnie 1914 roku odniósł jedno z trzech spektakularnych zwycięstw na wschodnim froncie, „w pył rozniósł carskie wojsko".

Od najmłodszych lat przejawiałem zamiłowanie do rysunków, malarstwa, historii i literatury. Nie miałem zdolności muzycznych. Szkołę podstawową i średnią ukończyłem w Łodzi. Również studia rozpocząłem w Łodzi na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Zainteresowały mnie wówczas wykłady z historii państwa i prawa powszechnego prowadzone przez profesora Jana Adamusa. Tych dwugodzinnych wykładów chyba nikt z roku nie opuszczał. A egzamin u profesora miał charakter rozmowy dotyczącej postawionego problemu i kończył się formułą: „Jaką ocenę mam postawić?". Otrzymałem dobry z plusem. Gładko także przeszła mi historia państwa i prawa polskiego u profesora Henryka Grajewskiego. Zniechęciły mnie natomiast do kontynuowania studiów wykłady profesora Jerzego Wróblewskiego z teorii państwa i prawa prowadzone bezbarwnie i bez polotu.

II. Marzec 1968

Wiosną 1961 roku rodzice przeprowadzili się do Warszawy, kupując mieszkanie na Saskiej Kępie, co było marzeniem mamy. Wtedy porzuciłem myśl o studiowaniu prawa i zdecydowałem się zdobyć zawód i ukończyć dwuletnie Studium Pedagogiczne na Stawkach. Do tego kroku przekonała mnie ucząca w Studium dr Janina Schoenbrenner. Mając dyplom pedagoga oraz wsparcie finansowe rodziców, podjąłem studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego Z zainteresowaniem słuchałem wykładów profesorów Aleksandra Gieysztora, Henryka Samsonowicza, Tadeusza Manteuffela, Stefana Kieniewicza, Stanisława Herbsta, Rafała Gerbera. Pracę magisterską zdecydowałem się przygotowywać z historii Stanów Zjednoczonych Ameryki na seminarium u profesora Andrzeja Zahorskiego, badacza epoki napoleońskiej i historii Warszawy. Zainteresowałem się postacią prezydenta Andrew Jacksona, kiedy wyszukałem w bibliotece uniwersyteckiej przesłaną tuż przed wybuchem wojny 1939 roku przez Fundację Carnige paczkę z wydaną kilkutomową korespondencją Jacksona. Mój promotor stwierdził, że ta edycja pozwoli przygotować interesującą pracę. Ale we wrześniu 1967 roku urzędowym pismem zostałem wezwany do MSW na Rakowiecką, gdzie przesłuchiwano mnie na okoliczność korzystania z biblioteki ambasady USA i kontaktów z amerykańskimi dyplomatami. Ostatecznie nakazano mi milczeć o tym zatrzymaniu. Oświadczyłem, że poinformuję o nim rodziców, siostrę i promotora, bo korzysta-

jąc z biblioteki, nie „godzę w interesy PRL". Rodzice uważali, że postąpiłem właściwie.

W dniu 8 marca po zajęciach opuściłem budynek Instytutu Historycznego i dołączyłem na dziedzińcu Uniwersytetu do demonstrujących studentów. Znalazłem się w bliskim otoczeniu profesorów S. Herbsta, Samsonowicza, Cz. Bobrowskiego. Tłum gęstniał. Protestowano w sprawie *Dziadów* oraz w obronie relegowanych studentów Michnika i Szlajfera. Wykrzykiwano także hasła: „Nie ma chleba bez wolności", „Nie ma nauki bez wolności", „Prasa kłamie". Na okoliczność zdjęcia z afisza *Dziadów* przypomniał mi się wtedy słyszany w Radio Wolnej Europy wiersz Hemara:

Potem mówił p. Gomułka
Do zaufanego kółka:
Ten Mickiewicz... wieszcz narodu...
Dużo zrobił nam zawodu!
Że on umarł, ja nie wiedział.
Gdyby żył, to już by siedział.
Nie ma wyjścia, nie ma rady SKONFISKOWAĆ CAŁE „DZIADY"!![1]

Pozostawałem wśród manifestujących, kiedy po południu przyjechał „aktyw robotniczy z wolskich fabryk", w rzeczywistości oddziały ORMO, które pałkami gumowymi rozpędzały manifestujących. Zebrani zaczęli szybko opuszczać dziedziniec i wychodzić na Krakowskie Przedmieście, formując pochód. Dołączyłem do nich. Ruszyliśmy w kierunku Domu Partii PZPR. Zaczynało szarzeć. Na wysokości ulicy Foksal odszedłem od manifestujących, zmęczony powróciłem do siebie. W sobotę nie ruszyłem się z mieszkania, ale w kolejnych dniach spędzałem dużo czasu na Uniwersytecie. Wtedy widziałem się z dyplomatami amerykańskimi, Robertem F. Oberem, Davidem Fisherem, Olafem Groblem, których poznałem przy okazji różnych spotkań towarzyskich. Dla mnie marzec zakończył się raptownie 22 po południu. Tego dnia do mieszkania rodziców, które obejmowało pół segmentu na Saskiej Kępie, wtargnęło

---

[1] Zob. https://mediacom.com.pl/Pawlowice_gazeta_osiedlowa/Pawłowice%20nr%2079(LR).pdf.

trzech osobników. Siostrze otwierającej drzwi przedstawili się jako moi znajomi z uczelni, którzy chcieliby przekazać pilną wiadomość. Kiedy wyszedłem z pokoju, już w ich rękach dostrzegłem groźne legitymacje, a za nimi stała jako świadek ściągnięta z parteru sąsiadka. Nie zdążyłem zapytać, jaka ustawa zapewniała obywatelom prawo obecności świadka przy przeszukiwaniu mieszkania pod nieobecność właściciela. Nadzwyczajni goście bez ceregieli przystąpili do rewizji trwającej ponad godzinę. Zabierając parę starych kalendarzyków, notatek, oświadczyli, że mam udać się z nimi i zabronili siostrze powiadamiać rodziców. Przed domem stała warszawa. Zostałem zawieziony do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Rakowiecką. Przesłuchiwało mnie – tak się przedstawili – trzech oficerów wywiadu. Wstęp był krótki, mocny. Twierdzili, że posiadają dowody, że przekazuję informacje o wydarzeniach na Uniwersytecie i w kraju agentom CIA. Dysponowali taśmami, zdjęciami, znali poglądy rodziców i moje na ówczesną rzeczywistość. Po ponad dwóch godzinach oświadczyli, że zostałem zatrzymany na 48 godzin i przewieziono mnie do pałacu Mostowskich, gdzie spędziłem ten czas w dużej piwnicznej celi w towarzystwie różnej maści „specjalistów od włamań, kradzieży", śpiąc na podłodze wyścielonej słomą. A w niedzielny poranek ponownie znalazłem się w gmachu Ministerstwa. Po długim oczekiwaniu przybył prokurator Stanisław Kaniewski i wymamrotał zarzut, powołując się na siódmy paragraf Małego Kodeksu Karnego: „kto działając na szkodę Państwa Polskiego, gromadzi lub przekazuje wiadomości, dokumenty lub inne przedmioty stanowiące tajemnicę państwową lub wojskową, podlega karze więzienia na czas nie krótszy jak 15 lat lub dożywocie lub karę śmierci". Wczesnym popołudniem zostałem lokatorem celi nowego pawilonu nazywanego przez więźniów inwestycją Różańskiego w Centralnym Zakładzie Karnym na ulicy Rakowieckiej. W następnych tygodniach byłem przeniesiony do starej części aresztu zbudowanego w latach caratu. Te zmiany cel pozwoliły mi poznać m.in. Włodka Zagórskiego, biologa molekularnego z Uniwersytetu Warszawskiego, Włodka Kofmana, fizyka z Politechniki Warszawskiej, Henryka Szlajfera. Przesłuchujący mnie podpułkownik Mieczysław Ufnal stosował różne techniki śledcze. Nie zważał na pory dnia,

traciłem więc posiłki, bo przesłuchania zaczynał o różnych porach, a nawet późnym wieczorem. Zapewniał, że ma już mocne dowody mojej szkodliwej aktywności. Zostałem także dwukrotnie pozbawiony kuponu do otrzymania paczki żywnościowej z domu. Klawisz nie uwzględniał próśb o wizytę u lekarza ani u stomatologa. Korespondencja z domem była ostro cenzurowana, zamazywana. Pozbawiany byłem spacerów, znalazłem się także w ciemnicy za łamanie regulaminu. Nie wysyłałem grypsów, co niektórzy zatrzymani praktykowali.

W trzeci piątek maja 1968 roku po południu zostałem wywołany z celi i zaprowadzony do lekarza. Tam usłyszałem klarowną diagnozę, „wyglądacie dobrze, nic wam nie dolega" i otrzymałem kartę aresztanta z pożądanym podpisem doktora. Następnie klawisz zaprowadził mnie do magazynu zdeponowanych ubrań, gdzie rozliczyłem się z państwowych akcesoriów: z blaszanej miski na zupę, kubka i oddano mi kożuch, w którym zabrano mnie z domu. Byłem przekonany, że zostanę przewieziony do innego zakładu – na Białołękę, bo eskortujący strażnik przyprowadził mnie przed bramę, gdzie stała nyska. Na moje pytanie, dokąd jedziemy, odpowiedział: „Stójcie cierpliwie, nie zadawajcie pytań". Chyba po piętnastu minutach otworzono masywną bramę i usłyszałem „wychodźcie". Po drugiej stronie ulicy Rakowieckiej przy budynku A SGPiS stała moja siostra Jadwiga. Kiedy podszedłem do niej, przytuliła mnie. Milcząc, ruszyliśmy w kierunku ulicy Puławskiej, by złapać taksówkę.

III. W SGPiS – wrzesień 1972

Od marca 1968 roku przez niemal pięć lat nie mogłem nawet marzyć o wyjazdach do krajów obozu socjalistycznego. Leżące w szufladzie komody zawiadomienia o tym, że nie otrzymywałem zgody MSW na udział w wycieczkach organizowanych przez agencje turystyczne „Orbis" czy „Gromada" m.in. do Bułgarii, ZSRR przypominają jednocześnie, z jaką determinacją odwoływałem się od nich. Ale przez te pięć lat przede wszystkim pozbawiono mnie możliwości zatrudnienia. Zawsze po złożeniu papierów – jak w jednej ze szkół podstawowych na Pradze Północ – usłyszałem, że interwencja panów z stosownego urzędu przekreśliła moje nadzieje na zatrudnienie.

Tak więc jeszcze w lipcu 1971 roku, kiedy zawierałem związek małżeński z Urszulą Liburą, legitymowałem się statusem bezrobotnego. Ale niespodziewanie jesienią 1972 roku sytuacja moja się zmieniła. Pomógł mi w tym Ludwik Krasucki, redaktor „Trybuny Ludu", do którego udałem się, nie znając go ani nie mając żadnej rekomendacji, z propozycją opublikowania omówienia książki amerykańskiego socjologa o zmianach zachodzących w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych. Redaktor po przeczytaniu tekst ten puścił, a następnie dwa inne. Wówczas zainteresował się moją sytuacją życiową. Kiedy więc pojawiłem się w redakcji, wygarnął mi, że nie powiedziałem o swoim statusie wroga PRL i bezrobotnego. Ale po kilku minutach chodząc po pokoju, spokojnym tonem zaznaczył, że zignoruje telefon, jaki otrzymał po ukazaniu się mojego innego tekstu. Tym razem napisałem notę o nie-

dużej monografii Marii Turlejskiej pt. *Zapis pierwszej dekady*. Książka, o czym nie wiedziałem, została krytycznie oceniona w KC PZPR przez Wydział Nauki i Oświaty. Krasucki słysząc, że chciałbym znaleźć się w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, powiedział, że o zatrudnieniu mnie na tej uczelni nie ma mowy. Zapytał natomiast, czy chciałbym „zaczepić się" w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Zaniemówiłem i potakująco kiwnąłem głową. Krasucki sięgnął po notes i zadzwonił na uczelnię. Po połączeniu z rektorem gorąco rekomendował mnie na stanowisko asystenta. Dwa tygodnie później zostałem przyjęty przez profesora Wiesława Sadowskiego, jak powiedziała Urszula, wybitnego ekonomistę i statystyka. Profesor Sadowski podczas dwóch pobytów na Yale University przebywał w Stanach Zjednoczonych ponad siedem lat i został przyjęty do ekskluzywnego towarzystwa ekonometryków. Stremowany, krótko powiedziałem o swoich zainteresowaniach naukowych i usłyszałem, że uczelnia dysponuje jedynie etatem w Międzywydziałowym Studium Nauk Politycznych. Bez wahania przyjąłem tę propozycję. A kiedy po opuszczeniu gabinetu rektora ochłonąłem, nie dociekałem, czy była to ironia losu, czy niezwykła koincydencja wypadków. Albowiem w tej jednej z najstarszych ekonomicznych uczelni w Europie studentką, magistrem, a następnie doktorem była Urszula, której promotorem był profesor Aleksy Wakar. Tę uczelnię ukończyła także moja siostra Jadwiga i jej mąż Bazyli Samojlik. Cieszyło nas z Ulą, że po niemal rocznym pobycie na Harvard University Bazyli tuż przed naszym ślubem powrócił do kraju. Pracował tam z ekonomistą, profesorem Leonidem Hurwiczem. W każdym razie szara codzienność zaczęła dla mnie nabierać barw, bo mogłem zajmować się stosunkami międzynarodowymi i przygotowywać pracę doktorską u profesora Andrzeja Zahorskiego na Uniwersytecie Warszawskim na temat prezydentury Andrew Jacksona. A po trzech latach, na wiosnę 1975 roku, niespodziewanie pojawiła się możliwość wyjazdu do Moskwy. Kierująca działem współpracy z zagranicą pani zaproponowała mi dziesięciodniowy wyjazd do Instytutu Ekonomicznego im. Plechanowa w Moskwie i afiliowania się przy Katedrze Budowy Komunizmu. Z pewnym zakłopotaniem wyjaśniła, że ani krótkie, ani dłuższe staże w tej instytucji,

a tym bardziej przy takiej jednostce naukowej nie interesowały pracowników SGPiS z legitymacjami PZPR, bo głównie zabiegali o możliwości poznawania gospodarek nękanych poważnymi recesjami i kryzysami. Tymczasem ministerstwo przydzieliło uczelni sporo rubli i należało je wykorzystać w danym roku akademickim. Oczywiście wyrażając zainteresowanie wyjazdem, nie poinformowałem pani kierownik, że mogą wystąpić kłopoty z otrzymaniem przeze mnie paszportu. Ale przypomniałem sobie radę udzieloną mi przez Krasuckiego, w końcu potomka pierwszego warszawskiego rabina Szlomo Zalmana Lipszyca, który słysząc, że znalazłem pracę w SGPiS, tak mnie pouczył: „Kiedy wybuchła wojna, ojciec przywołał mnie i braci i powiedział, że Hitler będzie mordował Żydów. Musimy się więc rozdzielić i musimy być przytomni. *Musicie mieć głowy na karku, a nie dupy* i klepnął każdego z nas dłonią w plecy. Jak widzisz żyję, choć trafiłem do Stuthofu”.

IV. Wyjazd do Moskwy – 1975

Podróż koleją i dziesięciodniowy pobyt w Plechanowie, we wrześniowej Moskwie pełnej jeszcze słońca, okazał się interesujący, zbliżył mnie do zupełnie nieznanych realiów. Nastroju ulicy, instytucji, ludzi, co dawało możliwość do skonfrontowania tego, co pisano w Polsce i na Zachodzie o Związku Sowieckim. Do wyrobienia sobie poglądu z innej, nieturystycznej strony.

Przekraczanie granicy pociągiem okazało się nieprzyjemnym doświadczeniem. Zaskoczyło dość koszmarną procedurą, z którą się nie spotkałem wcześniej, wyjeżdżając z Polski. Bo zaraz po przejechaniu Bugu, na terytorium Związku Sowieckiego do pociągu wpadali oficerowie i żołnierze ochrony pogranicza. Na krańcach każdego wagonu blokowali przejścia i wyjścia i nakazywali pozostawanie pasażerom w swoich przedziałach, niechętnie pozwalali korzystać nawet z toalet. Wraz z nimi pojawił się oficer i najpierw starannie przeglądając stronę po stronie, zbierał paszporty podróżujących, by zwrócić je dopiero przed odjazdem pociągu z Brześcia. Następnie żołnierze sprawdzali w przedziałach, czy ktoś się nie schował w komorach bagażowych pod ławkami oraz odkręcali śrubokrętami panele sufitowe, by przejrzeć „poddasze". Kiedy kończyli swoje czynności, nadchodzili celnicy w szarych mundurach, fizycznie lepiej wyglądający od żołnierzy. Odpytywali o posiadane środki płatnicze, przeszukiwali walizki, a słysząc pytanie, czego nie wolno wwozić, szorstko pouczali, że podróżujący mówi, kiedy będzie zapytany. Po tej wizycie pociąg wtaczał się do długiej hali, gdzie zmieniano wózki do podwozia wagonów z wąskiego

rozstawu na szeroki. Ta wymiana przebiegała gładko, pracujący, ubrudzeni smarami, sprawnie wykonywali czynności, ale obserwując ich przez okno wagonu, uderzało, że nie odzywali się ani do siebie, a tym bardziej do pasażerów. Przygotowany do dalszej podróży pociąg powracał na dworzec w Brześciu, na peron z drugiej, wschodniej strony budynku. I wówczas pojawiali się ponownie pogranicznicy, by oddać paszporty. Ta nieprzyjemna procedura kończyła się, kiedy w oknie wagonu oddalał się widok peronu dworca i pociąg nabierał pełnej szybkości.

Wówczas pasażerowie znający ten swoisty system odreagowywali go strategicznym posunięciem. Czym prędzej lokowali się w wagonie restauracyjnym doczepianym w Brześciu, gdzie czekało niewiele, ponad dziesięć, schludnie nakrytych stolików i szczęśliwcy nie opuszczali ich aż do zamknięcia tej oazy. Takie zachowanie zresztą samo szybko się uzasadniało. Potrafiący w lot taksować swoich polskich gości kelnerzy, bez podawania karty serwowali to, co mogło wystawiać jak najlepsze świadectwo ich kucharzowi. Karafeczka czystej pszenicznej, jajko z krasnym kawiorem, *salat stolicznyj*, a potem *soljanka* mięsna, befsztyk i do popijania piwo zgodnie z ludową mądrością, że picie wódeczki bez piwa to wyrzucanie pieniędzy na wiatr. Naturalnie taki skromny obiadek kończyło się setką koniaku. Czasem i drugą. Po kilku godzinach snu, przed dotarciem do stolicy imperium, konduktor wagonu serwował gorący *czaj* w szklankach. Rosyjscy współtowarzysze podróży przed herbatą podbudowywali swoje samopoczucie pitymi z własnych zasobów stoma gramami i szklaneczką śmietany, nabytą od kelnera przed opuszczeniem wagonu restauracyjnego. Twierdzili, że tę recepturę rekomendowało doświadczenie życiowe.

Dworzec Białoruski wyraźnie kontrastował z Centralnym w Warszawie urodą, masywnością peronów i bryłą budynku dworcowego. W jego korpusie, w przestronnej sali kłębił się tłum ludzi i panował intensywny, ostry zapach. Dostrzegłem, że tablica informująca o docierających pociągach, przy której wypatrywałem kogoś z Instytutu, mającego mnie spotkać, właściwie nie funkcjonowała. Oczekujący, jak mi wyjaśniła zapytana młoda kobieta, zawsze mogli dowiedzieć się od bagażowych, na

którym peronie zatrzymuje się wyczekiwany pociąg. Opuszczając wagon, dostrzegłem bagażowych, ale nie zwracali na mnie uwagi, widząc, że mam małą walizkę i aktówkę, wypatrywali klientów z walizami i tobołami wychodzącymi z drugiego pociągu, który wtoczył się na ten sam peron. Zaciekawiło mnie to, że w państwie, które od pierwszego dnia swojego istnienia wypaliło wszelkie formy burżuazyjnej eksploatacji człowieka, instytucja *nosilszczyka* (bagażowego) odgrywała tak poważną rolę, dysponował tajemną wiedzą o rozkładzie jazdy sowieckich pociągów.

Z dworca metrem na uczelnię dowiózł mnie przydzielony do asysty pracownik z Plechanowki. Po grzecznościowym zapytaniu, jak przebiegła moja podróż, zamilkł i więcej się nie odzywał. A po wyjściu z metra, kiedy zbliżyliśmy się do celu, naszą konwersację zakończył dwoma słowami *wot zdies*. Architektura budynków Instytutu częściowo legitymowała się metryką z carskiej Rosji. Uczelnia została założona w roku 1907 jako szkoła handlowa, podobnie jak poprzedniczka SGPiS. Po 1917 roku powiększona została o budynek byłego monastyru. Jej walorem m.in. była lokalizacja, do Kremla dochodziło się w pół godziny.

Atmosfera korytarzy gmachu, w którym mieścił się gabinet kierownika katedry, zrobiła na mnie wrażenie prowincjonalności. W oczy rzucało się jakieś panujące intensywne ożywienie studentów i podniszczony stan substancji materialnej, przykurzone ściany, niedoświetlone korytarze. Oczekujący na moje przybycie szef katedry po kilku kurtuazyjnych zdaniach poinformował, że spodziewa się ode mnie jedynie wystąpienia na zebraniu zespołu, a resztę zajęć właściwie mogę zaplanować sobie sam. Zapytany, czy będę mógł wysłuchać jakiegoś wykładu lub uczestniczyć w jakichś ćwiczeniach, wyjaśnił, że studenci głównie pierwszych roczników nie rozpoczynają jeszcze semestru. Właśnie teraz udają się do kołchozów na akcję zbierania ziemniaków, które wyjątkowo miały obrodzić, co, jak później usłyszałem, nie było ścisłą informacją. Władze partii nie chciały dopuścić do marnotrawstwa, bo urodzaj był lichy, w kołchozach brakowało szczególnie młodych rąk do pracy. Do takich kampanii angażowano więc studentów wszystkich moskiewskich uczelni, nie wyłączając nawet tych ze słynne-

go Konserwatorium im. Czajkowskiego, i to niezależnie od kierunku studiów, w tym klasy fortepianu i instrumentów strunowych. Słysząc to wyjaśnienie, nie chciało mi się wierzyć, że w wielkim imperium nie ustały „kampanie". Że po pięćdziesięciu latach budowy komunizmu nadal walczono o ziemniaka, o ziarno, o urodzaj, o litry mleka czy kilogramy wełny.

Profesor Szamil Magomedowicz Munczajew, kierownik katedry, okazał się być dagestańcem, średniego wzrostu, z ciemnymi oczyma, szerokim nosem, w wieku na progu pięćdziesiątki. Budził sympatię pogodną twarzą, stonowanym głosem i naturalnym sposobem bycia. Po paru dniach przekonałem się, że lubił spotkania towarzyskie i autentycznie interesowało go to, co działo się w świecie. Uznałem, że szczęśliwie mi się powiodło, bo trafiłem na kogoś, kto nie zamierzał męczyć mnie rozmowami o tym, jak Polacy odnoszą się do realnego komunizmu i jego perspektyw.

Niemniej merytoryczną opiekę nad moim stażem sprawował docent Aleksy Fiłonienko, typ ideowego komunisty, wzrastającego w czasach Stalina i nieodżegnujący się od jego epoki. Chruszczowoska „odwilż" zwichnęła jemu i jego żonie karierę. Nie doczekał się profesury mimo pracowitości i demonstrowanej pryncypialności ideologicznej. Wyznaczenie Fiłonieniki na mojego opiekuna, o czym się szybko przekonałem, było zręcznym posunięciem Munczajewa. Formalnie wykazywał się ideologiczną odpowiedzialnością za stażystę, a w gruncie rzeczy ani razu nie zapytał mnie, w jaki to sposób Fiłonieniko wypełnia swoją rolę. Dostrzegłem, że traktuje go na dystans. W mojej obecności nie zaprosił go na herbatę do swojego gabinetu. Z pozostałymi pracownikami tej osobliwej, liczącej około 20 pracowników jednostki dydaktycznej zapoznałem się na pierwszym posiedzeniu katedry.

Lepsze wrażenie robiły kobiety, szczególnie dwie. Jedna przyjemną aparycją i elegancją, a druga swoją krótką wypowiedzią, że moja obecność pozwoli zespołowi dowiedzieć się więcej o Polsce. Obie, kiedy nawiązałem rozmowę po zakończonym zebraniu, wyraziły chęć bliższego poznania się ze mną, proponując urozmaicenie mi pobytu zaproszeniem do teatru, restauracji, a nawet do ich domów. Nigdy nie miały okazji spotkać kogoś z Polski. Nie odmawiając złożonym mi propozycjom,

zorientowałem się, że każda z nich ma możliwości przybliżyć mi inne realia sowieckiej rzeczywistości, którą chciałem poznać.

Młodsza, w wieku około 35 lat, Maja, docent, była dzieckiem Komsomołu i kariery układanej poprzez aktywność w partii. Związek małżeński zabezpieczył jej dostatni status materialny, a stosunki z absolwentami uczelni osiągającymi w różnej skali kariery zawodowe otwierały jej dostęp do deficytowych dóbr i usług. Z nią poszedłem na lunch do znanej restauracji Słowiański Bazar i dzięki jej staraniom mogłem obejrzeć spektakl baletowy w pałacu zjazdów na Kremlu. Zaoferowała również, jeśli byłbym zainteresowany, pomoc w nabyciu jakichś atrakcyjnych prezentów dla Urszuli, myśląc głównie o wyrobach jubilerskich. Przejście na stopę koleżeńską zarysowało mi jej ambicje życiowe, które sprowadzały się do wygodnej egzystencji, zaspokajania nieosiągalnych dla przeciętnych obywateli potrzeb, posiadania samochodu, drogiej biżuterii, modnych ubiorów, wyjazdów do czarnomorskich kurortów i ośrodków narciarskich na Kaukazie lub koło Almaty. Zaangażowanie w życie partii rozumiała jako wykonywanie stawianych przed nią zadań i opowiadanie się za aktualną linią przewodniej siły. Nie trapiły jej żadne ideologiczne wątpliwości. Rozmawiając ze mną o nastrojach społecznych, powiedziała, że pojawiają się głosy krytyczne w stosunku do polityki ekipy kremlowskiej, żądające przestrzegania prawa, a nawet takich zmian w nim, by zbliżyło się do standardów zachodnich. Ale aktywność Sacharowa i jego żony określiła jako szkodliwą, podważającą autorytet państwa, a w ekspulsji Sołżenicyna nie dostrzegała nic nagannego. Uznała ją za akceptowalne rozwiązanie, skoro demonstrował taką niezrozumiałą nienawiść do ojczyzny, to niech sobie grzmi tam, na zewnątrz, a tutaj będzie spokój. Nie odniosłem się do tej opinii, bo przecież władze mogły go skazać na zesłanie jak Josifa Brodskiego. Zresztą o czym Maja nie wiedziała, że deportację osób określonych jako szkodników za wielce humanitarny krok uznali sami ojcowie – budowniczowie państwa bolszewików. W 1922 skazali na banicję kilkuset wybitnych uczonych, pisarzy, artystów.

Pani profesor należała do innej klasy. Jej osobowość i sytuacja osobista ulokowały ją w wyższym słoju nomenklatury sowieckiej, bo mąż był profesorem w Akademii Nauk. Wizyta

w jej domu odsłoniła rzucającą się w oczy zamożność, przestronne pokoje, antyczne meble, dobre malarstwo na ścianach. Przy kolacji, w której – jak wyjaśniła – z poważnego powodu nie mógł uczestniczyć małżonek, rozmawialiśmy o dorobku świeżo co zakończonej konferencji w Helsinkach, w tym powierzchownie o tak zwanym trzecim koszyku, respektowaniu praw człowieka. Naturalnie ani słowem nie dotknęliśmy sprawy aresztowania i wydalenia ze Związku Sowieckiego rok wcześniej Aleksandra Isajewicza Sołżenicyna. Zapytała natomiast o możliwości wyjazdów turystycznych Polaków na Zachód, o utrzymywanie kontaktów z cudzoziemcami. Bodaj w kilku zdaniach wspomniała, że niektórzy obywatele pochodzenia żydowskiego starają się o wyjazd do Izraela, ale nie jest to kwestia prosta. Szczególnie jeśli chodziło o specjalistów zatrudnionych w tajnych i wojskowych laboratoriach czy o wysokiej klasy profesjonalistów i uczonych. Z obustronną powściągliwością zauważyliśmy, że w naszych krajach występują pewne trudności na rynkach wewnętrznych, głównie w zaopatrzeniu ludności w produkty mięsne. Raczej bez przekonania tłumaczyła to modernizacją sektora przemysłowego i nieudolnym zarządzaniem w sowchozach na terenie Azji. Zaznaczyła, że dużo kosztują jej kraj zobowiązania polityczno-gospodarcze wobec pewnych państw, jak np. Kuby, oraz wyścig w kosmosie, i że społeczeństwo jest tego świadome. Żywa, blisko trzygodzinna rozmowa z gospodynią w żadnym momencie nie pozwalała powątpiewać, iż głęboko wierzyła w ten układ społeczno-polityczny, o którym uczyła studentów. Ale także orientowała się, że przed ekipą breżniewowską zaczynały piętrzyć się groźne dla systemu problemy. Opuszczając jej dom, jedynie pomyślałem o tym, jak też będzie wypowiadała się w Instytucie na zebraniu.

Wystąpieniu na forum katedry nadałem charakter informacyjny o naszej uczelni, o tym, czego uczymy, nazywając to politologią i o osobistych zainteresowaniach historią i polityką Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz losami Polaków na kontynencie północnoamerykańskim. Wspomniałem o świeżo wydanej przeze mnie książce pt. *Ameryka w pamiętnikach Polaków*. Moje badawcze zainteresowania, co mnie bardzo zaskoczyło, nie wywołały, bodaj poza jednym, pytań merytorycznych, a natomiast skupiono się na kwestiach funkcjo-

nowania uczelni i warunkach bytowych pracowników. Jakie jest obciążenie godzinowe pracowników, czy za przekroczenie pensum jesteśmy dodatkowo gratyfikowani itp. Po tym blisko dwugodzinnym spotkaniu pozostałe dni miałem już tylko dla siebie. W katedrze pojawiałem się na herbatki z Munczajewem, a przy okazji i z innymi pracownikami. Jedynie raz Munczajew zabrał mnie na spotkanie ze studentami. Dla uwiarygodnienia swojej aktywności naukowej podjąłem próbę uzyskania dostępu do wydawnictw zagranicznych w bibliotece im. Lenina, pieszczotliwie nazywanej „leninką", znanej ze swoich bogatych zasobów. Głównie zamierzałem przejrzeć katalogi. Wsparty przez docenta Fiłonienkę zaświadczeniem o odbywaniu stażu w Plechanowie, złożyłem wniosek we wskazanym dziale biblioteki, gdzie zadano mi tylko jedno niewinne pytanie, do kiedy będę przebywał w Moskwie. Właściwy sens tego pytania zrozumiałem na dzień przed wyjazdem do Polski. Udając się po odpowiedź, usłyszałem od niepatrzącej mi w oczy pracownicy, że właśnie od następnego dnia mogę już korzystać z interesującego mnie zbioru. I to wszystko.

Niemal równie rozbrajająco brzmiała odpowiedź siedzącej na piętrze pokojówki w hotelu Uniwersyteckim, gdzie zostałem zakwaterowany. Do jej obowiązków, o czym mnie poinformowano, należało pilnowanie porządku i dbanie o gości. Wracając już drugiego dnia pobytu wieczorem z centrum miasta, na pytanie, czy mogę liczyć na *kipiatok* (wrzątek), w odpowiedzi usłyszałem, że oczywiście tak, tylko że jest już *chołodny*, bo dawno wyłączyła samowar. Kiedy powróciłem z pokoju ze szklanką, ale i tabliczką czekolady, samowar się włączył i zostałem zachęcany do wypicia i drugiej szklanki *czaja*.

Spacerując po mieście, przekonałem się, że niezwykle trudno było dostać się do jakiegoś przyzwoitszego lokalu, albowiem w restauracjach, nawet hotelowych, w godzinach od 12–13 do 15–16 na drzwiach wejściowych umieszczano wywieszkę z napisem „sanitarna przerwa". Natomiast zaraz po otwarciu lokalu zawsze stojący w drzwiach cerber, taksując wzrokiem potencjalnego klienta, udzielał mu stanowczej odpowiedzi, że już wszystkie stoliki są zarezerwowane, albo dyskretnie sugerując datek, już w życzliwej tonacji zapraszał do wejścia. Poza wciśnięciem w przywykłą do tego procederu łapę odźwiernego

zwitka z napisem *In God We Trust*[1], dobrą walutą była paczka Marlboro. To ona otworzyła mi drzwi do restauracji starego Nacjonalu, rozsiadłego na rogu ulicy Gorkiego (Twerska) i Mochowej, nieopodal placu Czerwonego, z widokiem na Kreml i Ogrody Aleksandryjskie. Był to prestiżowy adres. W westybulu marmurowa tablica informowała, że tu Lenin urzędował w 1918 roku, nim usadowił się na Kremlu. Posadzony przy czteroosobowym stoliku usłyszałem od kelnerki, że jest przyjęte dosadzanie osób, bo „bardzo wielu gości ceni nasz lokal i chce się w nim znaleźć". Przyjmując do wiadomości to wyjaśnienie, zapytałem, czy mogę liczyć na rosyjskie towarzystwo, co zaskoczyło obsługującą, która z racji mojego akcentu nie mogła mieć wątpliwości, że jestem cudzoziemcem i powinienem raczej oczekiwać zagranicznych turystów. Wtedy stolik z ukrytym mikrofonem – tę wiedzę zdobyłem z lektur – mógłby wspomóc rutynową pracę organu z placu Dzierżyńskiego. Po pół godzinie dołączyło jednak dwóch osobników, którzy nie przejawiali ochoty do nawiązania konwersacji, a konsumpcję ograniczał im ewidentnie limit „firmy", mogli sobie pozwolić na śledzika i karafeczkę z dwustu gramami. Golicyna, z takim nazwiskiem dostrzegłem plakietkę na bluzce kelnerki, z wyraźnie wykalkulowaną uprzejmością odnosiła się do mnie, jakby nie zauważając dwóch pozostałych osobników. W tej sytuacji nie mogłem pozostać obojętny na jej profesjonalizm przy uregulowaniu rachunku. Za to na koniec zostałem obdarzony wdzięcznym uśmiechem.

To, że dotarłem na plac Października [(Oktyabrskaya płoszczad), obecnie plac Kałużski], pozbawiony jakiejkolwiek urody, zdeformowany w kształcie i bez żadnej stylowej budowli, wynikało z chęci zlustrowania znajdującego się tam jedynego w Moskwie sklepu komisowego z antykami, o którego istnieniu poinformowała mnie Maja. Wizyta w nim wypadła intrygująco. Obszerny lokal, w którym wyodrębnione działy sztuki z malarstwem, rzeźbą, porcelaną i szkłem oraz variami[2] były oddzielone od klientów ladami. Siłą rzeczy więc należało nawiązać kontakt

---

[1] *In God we trust* (ang.) – „Bogu ufamy", oficjalna dewiza Stanów Zjednoczonych, napis znajdujący się na amerykańskiej walucie [przyp. red.].

[2] Varia – zbiór różnorodnych tekstów, myśli lub notatek zebranych w ja-